

Przyjdzie Chávez i wyrówna

27 marca 2013

Strasznie go nienawidzili. Ba! Ścigali się o to, kto opublikuje na niego plugawszy paszkwil. W wyścigu tym warszawska „Gazeta Wyborcza” uplasowała się, wraz z madryckim El País, w światowej czołówce. „Reżim Wenezueli”, orzekł Maciej Stasiński, „jest z istoty narodowosocjalistyczny, faszystowski”. Stasiński błądził się wielokrotnie, a wraz z nim GW. Oto w kwietniu 2002 r. całą polską demokrację liberalną, skupioną wokół GW, ogarnęła euforia: w Wenezueli prawica dokonała zamachu stanu, obalając demokratycznie wybranego prezydenta. Stasiński triumfował: „Kraj, niczym las birnamski, podchodził pod Miraflores. Makbet został sam.” Sam! W dziejach świata bardzo niewielu tzw. mężów stanu mogło poszczycić się taką „makbetowską samotnością” jakiej doświadczył Hugo Chávez. W niespełna 48 godzin później las birnamski naprawdę podszedł pod pałac prezydencki w Caracas – to sam lud z powrotem wprowadził do niego Chaveza. Ku rozpacz Stasińskiego i GW.

Nienawidzili go z dwóch powodów.

Po pierwsze, dlatego, że Stanom Zjednoczonym powiedział: fuck you. W Polsce, gdzie niepodległość oznacza wiernopoddańczy stosunek do supermocarstwa, zapewnianie mu dostaw mięsa armatniego i instalowanie tajnych więzień CIA, chavezowskie „gesty Kozakiewicza” wywoływały wśród elity politycznej i medialnej popłoch, zgorszenie i potępienie. „Prezydentów USA, a zwłaszcza George’a Busha, wyzywał od zabójców i zbrodniarzy”, oburza się Stasiński. Jakże śmiał – Busha, tego szermierza wolności w skali światowej!

Drugi powód to lęk – przed tym, że tu też przyjdzie taki Chávez i wyrówna. Bo za co Stasiński najbardziej go piętnuje? Za to, że „milionami petrodolarów finansował kilkanaście programów pomocy społecznej dla biedoty”, zamiast – jak to

dzieje się w demokracjach liberalnych – finansować banki, które zbankrutowały w wyniku swoich awanturniczych spekulacji. Za to, że „wywłaszczał miliony hektarów majątków ziemskich i nacjonalizował setki firm”, że organizował tzw. misje, które „polegały na bezpłatnej pomocy medycznej, edukacyjnej i materialnej dla mieszkańców dzielnic nędzy”, że „udzielali jej lekarze i nauczyciele z Kuby, a tanie, dotowane produkty sprzedawała sieć państwowych supermarketów” (GW, 6 i 7 marca br.).

Nic więc dziwnego w tym, że z punktu widzenia polskiej demokracji liberalnej skutki rządów Chaveza są przerażające. W Wenezueli zlikwidowano analfabetyzm. Umieralność niemowląt zmalała o połowę. Odsetek osób żyjących w skrajnym ubóstwie zmniejszył się z 40% do 7,3%. Nierówności społeczne, mierzone współczynnikiem Giniego, zmalały do najniższego poziomu w Ameryce łacińskiej, a przecież – tak, jak w polskiej i każdej innej zdrowej gospodarce – powinny maksymalnie rosnąć. Płaca minimalna w Wenezueli jest dziś najwyższa spośród państw latynoamerykańskich. W ciągu jednego tylko roku wybudowano 300 tys. mieszkań dla najuboższych – zamiast, jak w Polsce, eksmitować tych, którzy jeszcze mają gdzie mieszkać, ale których już nie stać na czynsz.

„Zniszczył praktycznie wszystkie niezależne media elektroniczne”, twierdzi Stasiński. Faktycznie: ze 111 kanałów telewizyjnych, „tylko” 61 to kanały prywatne, a reszta – społecznościowe (37) i publiczne (13). Do tego w rękach prywatnych, pod kontrolą opozycji, pozostaje „tylko” 80% prasy. Koronny już dowód na „z istoty faszystowski” charakter jego reżimu to poddawanie się średnio raz do roku weryfikacji wyborczej i wprowadzenie na bezprecedensową skalę demokracji partycypacyjnej. Zaiste, trudno o bardziej podstępny zamach na demokrację liberalną – im rzadziej się głosuje i im mniej obywateli uczestniczy, tym dla niej lepiej.

Chávez wyciągnął miliony Wenezuelczyków z nędzy i wciągnął ich do życia politycznego. Kilka miesięcy przed śmiercią ogłosił

program oddolnej budowy „państwa gmin socjalistycznych”,
stopniowo zrywającego z państwem burżuazyjnym i kapitalizmem.

Oni – oligarchie finansowe, polityczne i medialne – nigdy mu
tego wszystkiego nie wybaczą.

Autor: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)